

KONSPIRATORKI

„INTERESOWAŁAM SIĘ PORZUCONĄ BRONIĄ I AMUNICJĄ,
NOSIŁAM JĄ, A MAGAZYNEM BYŁ MÓJ WŁASNY SIENNIK.
W NOCY KONSERWOWAŁAM BRONŃ CICHUTKO I OSTROŻNIE”
– PO WYBUCHU WOJNY KOBIETY ZIEMI OLKUSKIEJ
NIE CHCĄ STAĆ Z BOKU I AKTYWNI BUDUJĄ
STRUKTURY LOKALNEJ KONSPIRACJI.

Mateusz Radomski

Po zakończeniu II wojny światowej przez dekady członkowie podziemia niepodległościowego byli wyłączeni z oficjalnej narracji historycznej, często stając się obiektem aresztowań bądź szykan ze strony władz komunistycznych. Dopiero dzięki zmianom ustrojowym dawni konspiratorzy i konspiratorki mogli zacząć otwarcie mówić o swoich przeżyciach. Ich wspomnienia, relacje czy dzienniki pomagają nam spojrzeć na wojnę i konspirację z perspektywy jednostki. Dzięki indywidualnym świadectwom obraz czasu staje się bardziej namacalny i wielowymiarowy. Archiwalia ukazują aspekty funkcjonowania dawnej rzeczywistości, których nie znajdziemy w opracowaniach.

Głosy kobiet zazwyczaj pozostawały w tle opowieści o bohaterskich czynach kole-

gów – ich partyzanckich potyczek, heroicznej i nierównej walki z okupantem. Kobiety pełniły w ówczesnych strukturach konspiracyjnych stereotypowe role, co często wiązało się z ich dyskryminacją – także w późniejszym dyskursie.

Z wymienionych powodów zdecydowałem się pokazać historii działaczek podziemia z regionu olkuskiego poprzez wybór chronologicznie ułożonych fragmentów z ich wspomnień. To efekt niemal dziesięcioletnich działań, mających na celu zachowanie pamięci o konspiracji na ziemi olkuskiej, które podejmowałem wspólnie z przyjaciółmi zrzeszonymi w „Kole Olkusz” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Dzięki międzypokoleniowej współpracy miałem okazję poznać kilka bohaterek tekstu i bezpośrednio usłyszeć ich historie.



FOT. MUZEUM REGIONALNE W OLKUSZU, ANTONIEGO MNIEWICZA W OLKUSZU, FOTOGRAFIE DO 1945 R. SYGN. 4/31

Olkusz (Ilkenau) w czasie okupacji niemieckiej, skrzyżowanie ulic Krakowskiej i J. W. Goethego (obecnie Tadeusza Kościuszki)

Niemcy wkroczyli do Olkusza już 5 września 1939. Jesienią tego roku powiat olkuski podzielono na dwie części. Tę zachodnią, lepiej uprzemysłowaną, z Olkuszem, Bolesławiem i Kluczami włączono do III Rzeszy, północno-wschodnią z Wolbromiem i Pilicą o zdecydowanie wiejskim charakterze – do Generalnego Gubernatorstwa. Granica przecięła tradycyjne powiązania gospodarcze między rejonami, utrudniała też przemieszczanie się, a co za tym idzie działalność konspiracyjną.

Konspiracja na ziemi olkuskiej powstała od razu po klęsce Polski. Kobiety odgrywały kluczową rolę w organizacji z początku niesformalizowanych grup. Z czasem doszło do ich centralizacji – powstało kilka istotnych ośrodków aktywności polskiego podziemia na tym terenie. Po zachodniej stronie dominowała Gwardia Ludowa Polskiej Partii Socjalistycznej, we wschodniej Bataliony Chłopskie. Obie formacje weszły ostatecznie

w skład Armii Krajowej, zachowując jednak swoją odrębność polityczną. Widoczną aktywność przejawiała też komunistyczna Armia Ludowa.

W ramach powyższych struktur aktywnie działały kobiety jako członkinie Wojskowej Służby Kobiet (AK) lub Ludowego Związku Kobiet i Zielonego Krzyża (BCh). Najczęściej pełniły funkcję łączniczek, kolporterek i sanitariuszek. Zajmowały się też gotowaniem, szyciem lub praniem dla przebywających w leśnych oddziałach kolegów. Zdarzały się również przypadki, kiedy konspiratorka stawiała na czele placówki złożonej z mężczyzn albo walczyła w szeregach partyzanckich. Nie można też zapomnieć o ich przeważającym udziale w tajnym nauczaniu.

Konspiracja w powiecie olkuskim, w początkach okupacji w fazie organizacji, kolportażu prasy czy mniejszych akcji sabotażowych, przybrała na sile w 1942 roku. (M.R.)

Stanisława Paciej, mieszkanka wsi Kidów

Wybuch wojny zastał mnie w domu rodzinnym. Popłoch ludności był okropny. Uciekali wszystkimi drogami: pieszo, rowerami, wozami ciągniętymi przez konie. Na wozach dzieci, u wozów powiązane bydło, a na twarzach strach. Uciekali, nie zdając sobie sprawy z tego, gdzie się schronić. Niejeden nie wrócił do domu. Samoloty niemieckie strzelały bezlitośnie.

Ja z domu nie uciekałam. Powiedziałam sobie: „Dobrowolnie nie opuszczę domu swojego”. I tu hart ducha powstał. [...]

Nie mogłam przeżyć, że moja Ojczyzna stała się hitlerowskim łupem. Po wieczorach siadałam z głową na dłoniach i mówiłam sobie: „Dajcie mi, ręce, siłę, i ty, głowo, rozum, bym mogła brać czynny udział w walce o wolność”. [...]

Interesowałam się porzuconą bronią i amunicją, nosiłam ją, a magazynem był mój własny siennik. W nocy konserwowałam broń cichutko i ostrożnie. Umiałam konserwować. Miałam ukończone przysposobienie wojskowe w [Żeńskiej] Szkole Rolniczej w Koziegłowach, w 1938 roku. Miałam kurs sanitarny, umiałam się obchodzić z maską przeciwgazową i dobrze rzucałam granatem.

KIDÓW, WRZESIEŃ 1939

[8]

Anna Piotrowska, kierowniczka Harcerskiego Zakładu Leczniczko-Wychowawczego przy stacji kolejowej Rabsztyn

Warty na tarasie, przed domem, przy radio. Podczas kolacji telefon doktora [Mariana] Kiciarskiego (lekarza powiatowego), aby ze stacji odebrać rannych z pociągu ewakuacyjnego, ostrzelanego przez samolot niemiecki.

Już przy telefonie rozkładałam sobie pracę. W jadalni daję dyspozycje. Bardzo szybko znajdujemy się z noszami na stacji. Ludzie dość spokojni, przypuszczalnie oszołomieni. W jednym z wagonów człowiek z nogami w krwawych bandażach, porusza jeszcze ustami – a gdy podchodzę drugi raz, już nie żyje. Maszynista podobno nie żyje – jakoby zdążył jeszcze powiedzieć: „Zagaście palenisko”.

Przenosimy rannych do Zakładu, gdzie już Iza [Nikłówna] z kursem naszykowała sypialnie. Zjawia się doktor Kiciarski z autobusem i zabiera ciężiej rannych do Olkusza. U nas zostają lżej ranni i dwa trupy, które odnosimy do „kniei”, tak nazywanego przez nas małego drewnianego domu

w pobliżu głównego budynku. Tak zaczęła się prawdziwa wojna. Dziewczęta dobrze się trzymały, czujemy się potrzebne. Lekarkom zostawiam samo pielęgnowanie i całą stronę fachową.

Nad ranem zjawia się duża grupa [harcerk ze] Śląska. [...] Wiadomość o oddaniu Śląska w ręce band hitlerowskich jest pierwszym ciosem. Stefa wybucha płaczem.

Ślązaczki bardzo zmęczone idą spać. Pocięszamy się myślą, że wycofanie się [naszych wojsk] to manewr, ale jest bardzo ciężko. Rano znowu alarm gazowy – mamy łączność telefoniczną z obroną przeciwlotniczą. Bardzo trudno jest się zdecydować, kiedy robić alarm, a kiedy nie – ciągle warty meldują o aeroplanach. Znaków nie widać. [...]

Piszę list pożegnalny do domu i Józefiny [Łapińskiej]. [...]

W południe zajeżdża autobus z rannymi żołnierzami. Zostawiamy jedenastu lżej rannych, potrzebujących chirurga, wracamy do Olkusza. Był znowu alarm gazowy. Ślązaczki nie reagują – już przyzwyczajone.

Wieczorem zaalarmowano ze stacji, aby zabrać chorą z pociągu, okazało się – rodząca. Wieczorem, wracając ze stacji, widzimy nasze wojsko. Rozmawiamy chwilę z jakimś majorem. Mówi, że zostali pobici pod Zawierciem, że Katowice nie są zajęte i że tutaj Niemcy nie wejdą. „Niech pani posłucha radia”. Po powrocie stwierdzamy, że właśnie radio katowickie nie działa. Polecam się pamięci majora, ze względu na rannych żołnierzy.

Donosimy żywność do fur uciekinierów jadących na Golczowice i urzędnikom na stacji: bardzo zmachani. [...]

Doktor [Julian] Łapiński telefonuje, że przyśle jeszcze rannych, polecam się i jego opiece ze względu na rannych żołnierzy. Przyjeżdża pięć fur rannych z Olkusza.

RABSZTYN, 2–4 WRZESNIA 1939

[14]

Stanisława Piega, mieszkanka wsi Poręba Dzierżna

Zaraz po rozpoczęciu działań wojennych dom nasz stał się przystanią dla żołnierzy Wojska Polskiego, którzy walczyli jeszcze z wrogiem. Byli głodni, więc trzeba było ich żywić.

PORĘBA DZIERŻNA, WRZESIEŃ 1939

[9]

Anna Piotrowska

Rano wróciły dzieci spod Wolbromia, śląskie harcerki poleciły im wracać. Nie rozumiemy, co się

stało. Zaczyna nam coraz wyraźniej rysować się możliwość okupacji. Wieczorem duża grupa harcerek i harcerzy: pod kulami opuścili placówki. Karmimy i lokujemy.

Urodziło się dziecko. Był mąż tej kobiety, ale pojechał dalej. Musiałam pokierować organizacją szpitala. Donosimy jedzenie i picie na stację. [...]

Świtem wyjeżdżają harcerze i ranni żołnierze. Rano rozgrywa się w domu okropna scena z domniemanym szpiegiem i domniemanymi dezertkami – niczego dojść nie można. Kancelaria zdemolowana, miałam kilka razy karabin przy skroni – myślałam, że to gorsze uczucie. Niektórym nerwy odmawiają posłuszeństwa. Moje domowniczkę zachowują się dobrze.

Zwołujemy radę, na której decydujemy się na pozostanie wszystkich w Zakładzie, pomimo że wojska nasze wyraźnie się cofają i idą ostatnie pociągi. Wywiad na stacji stwierdza, że ludzi ogarnęła panika – opowiadają o okrucieństwach niemieckich i uciekają, zostawiając dobytek na łasce losu. Warunki podróży straszne, pociągi wloką się dwa dni z Sosnowca. [...]

Zbiórka ogólna: przedstawiam naszą decyzję, dając 15 minut do namysłu. Wyjeżdżają tylko te, które zbliżają się w ten sposób do rodziny. Zabierają dzieci. [...]

Brak jakichkolwiek wskazówek przez radio, z Olkusza czy od wojska. Telefon dziś już nieczynny. Rozpaczliwe uczucie, że dzieje się coś katastrofalnego, że się już nie bronimy, że coś gdzieś zawiodło, że zostajemy tu jak w pułapce, bez możliwości działania. Usiłujemy organizować dom.

Brak pilnej roboty skłania do rozważań. Odczuwam bardzo mocno dwie rzeczy: 1. Najważniejsza dla człowieka jest wolność i 2. Uczucia patriotyczne są we mnie w tej chwili silniejsze niż rodzinne. Serce nawaliło mi gruntownie. Ledwo łączę.

Po południu pierwszy patrol niemiecki w liczbie dwóch [żołnierzy] na motocyklach. Nie rozmawiają, tylko oglądają dom z zewnątrz. Bardzo silne wrażenie.

Wieczorem słychać strzały. Samoloty. Prądu nie ma.

Rano jakaś kobieta przywiozła do nas dwóch ciężko rannych żołnierzy spod Bydlina. Opatrzeni już przez lekarza wojskowego, potrzebują dalszej

pomocy chirurgicznej. [...] Rannego w rękę posilamy gorącym mlekiem. Wieść niesie, że pod Bydlinem była wielka bitwa w nocy*. [...] Wysyłam tam patrol – okazuje się, że znalazły tylko trzech zabitych i pochowały. [...]

Na chwilę przed powrotem naszych dziewcząt zjawia się patrol niemiecki na rowerach. Rozmawiamy. [...] Jeden z nich na pewno umie po polsku. Są sztywni, ale poprawni. Do domu wchodzi z wycelowanymi karabinami. Manewrują rewolwerem w kierunku ujadającego Smoka, naszego psa. Piją wodę, pytają o drogę do Gólczowic. Dziewczęta mają zupełnie okrągłe z wrażenia oczy. Straszne jest uczucie, że oto jesteśmy w niewoli.

RABSZTYN, 4–7 WRZEŚNIA 1939

[14]

*

— Stanisława Paciej „Elżbieta”

Słowa przysięgi wymawiam z drżeniem w głosie – czy podołam zadaniom, czy wytrwam? Mój pseudonim: „Elżbieta”.

Jako łączniczka jestem wysyłana z pocztą i rozkazami po terenie powiatu miechowskiego i olkuskiego. Podróż odbywam pieszo lub rowerem. Dla bezpieczeństwa swoje karabiny przenoszę do stodoły, wiążę w snopki słomy. W organizację podziemną wtajemniczam swoje koleżanki z Kidowa, jest ich osiem młodych dziewcząt. Po wieczorach czytamy broszurki o udzielaniu pierwszej pomocy rannym z odróżnieniem ran ciętych, szarpanych, jest wojna i takie może być zranienie. Chcemy stanąć, gdy zajdzie potrzeba.

KIDÓW, MARZEC 1940

[8]

— Auerbachowa, mieszkanka Olkusza

W czerwcu został zabity przez nieznaną sprawców w domu lekarza aryjskiego [Juliana Łapińskiego] żandarm niemiecki. Wskutek tego spalono dom i siedemnastu ludzi zostało rozstrzelanych.

W lipcu przyjechali Niemcy, otoczyli miasto i wyciągnęli wszystkich mężczyzn, bez różnicy narodowości, z mieszkań. Bili ich, gimnastykowali i zabili dwóch ludzi. Przeprowadzali rewizje po domach, szukając pretekstu do aresztowania i wysłania do łagru. W domu świadka znaleźli dywany

* 5 września 1939 pod Bydlinem z formacjami niemieckimi stoczyły walki dwie polskie jednostki: III batalion 11 Pułku Piechoty oraz oddziały 22 Dywizji Piechoty.

i oskarżyli ojca, że zajmuje się handlem. Zbili go i zawieźli do łagru do Sosnowca.

OLKUSZ, LIPIEC 1940

[11]

Stanisława Paciej

Moje karabiny oddaję chłopcom do lasu, przez „Huberta” [...]. Są folksdojczy, trzeba ich koniecznie likwidować. W Pilicy jest już siedmiu jawnych folksdojczy. Organizacja podziemna likwiduje ich czterech. Układa na rynku z napisem na papierze: „Każdego spotka to samo, gdy zdradzi swoją Ojczyznę”. Działo się to wszystko w nocy. Piąty ginie w biały dzień, po meczu w niedzielę. Wszedł w bramę po ogień do papierosa, a nie wiedział, że partyzant go tam zaprosił.

KIDÓW, 1941

[8]

Stanisława Piega

W naszym domu szukali schronienia ludzie „spaleni”, którzy za swą walkę z okupantem musieli się ukrywać. [...] Nosiłam do ładowania akumulatory od radia i stacji nadawczej. Życie organizacji podziemnych zaczęło się rozrastać.

PORĘBA DZIERŻNA, POCZĄTEK 1942

[9]

Michalina Ostachowska „Iskierka”, mieszkanka Sułoszowej

Każdy wierzył, że wojna się nie skończyła, tylko zeszła do podziemia. Ponieważ powiększająca się sieć konspiracyjna potrzebowała zaplecza i oparcia w terenie, a wiele matek, siostr i żon było już wtajemniczonych, więc żeby to zalegalizować, dać jednolitą formę organizacyjną i zaspokoić pragnienie – wielu tysięcy kobiet wiejskich – wzięcia aktywnego udziału w walce o wolność i przyszłość naszego narodu, [...] został powołany Ludowy Związek Kobiet.

SUŁOSZOWA, POCZĄTEK 1942

[2]

Antonina Ścisłowska, mieszkanka wsi Krzywopłoty

Udziałałam z mężem schronienia i pełnej opieki wraz z wyżywieniem łącznikom. [...] Dom nasz położony jest z dala od wsi Krzywopłoty, na skraju lasu, tak że partyzanci mieli bezpieczny dostęp do niego, jak również mogli się szybko wycofać w razie jakiegokolwiek zagrożenia.

Mimo to, że sami nie mieliśmy żywności za dużo, staraliśmy się iść w każdej chwili z pomocą: czy to w postaci przygotowanej gorącej stawy na miejscu, czy ofiarowania ziemniaków i mąki dla oddziału. [...] Pomagałam im również w naprawie i praniu bielizny osobistej i odzieży.

KRZYWOPŁOTY, 1942

[10]

Irena Kac „Zośka”, mieszkanka Olkusza

W pierwszych miesiącach mojej pracy w [Zarządzie Gminy Rabsztyń] byłam w dziale dostarczania kartek żywnościowych w poszczególnych wsiach, gdzie dojeżdżaliśmy podwodami. Następnie przeniesiono mnie do sekretariatu Komisarza Gminy, gdzie praca moja polegała na ewidencjonowaniu: oddawania kontyngentów produktów rolnych przez poszczególnych rolników i łącznie wsi, terminów ich dostaw, miejsca składowania, wyjazdów z komisarzem rolnym do różnych rolników, celem sprawdzenia stanu faktycznego.

Pracowała ze mną sekretarka komisarza, Anna Kozioł – Niemka. Byłam z nią zaprzyjaźniona i zdobyłam jej pełne zaufanie, miałam więc dostęp do wiadomości i informacji nie tylko z terenu gminy, ale i ze środowiska niemieckich żandarmów w Olkuszu, którzy często przebywali w naszym pokoju. W czasie nieobecności Anny Kozioł pisałam na jej maszynie listy grożące odpowiedzialnością za współpracę z Niemcami.

OLKUSZ, 1942

[3]

Alicja Mędrak, mieszkanka Olkusza

Byłam najstarsza z siostr, zmuszona więc byłam stać w kolejkach za żywnością dla całej rodziny. Mijając mnie na ulicy, na której miał obchód, zaczepiał mnie stale [niemiecki żandarm]. Dumnie odwracałam głowę, dając mu wyraźnie poznać, jak bardzo nim pogardzam i nienawidzę go. Tym razem nie były to zwykłe zaczepki. Widząc, że nie reaguję na jego urzędowy ton, wypowiedziany w języku niemieckim, sięgnął do kabury po pistolet. Zbliżając się do mnie, warknął: „Ausweis” (zastępował dowód osobisty). W notesie zapisał moje nazwisko i adres z podanej „palcówki”^{*}.

Od tej pory [...] zjawiał się w naszym mieszkaniu z żandarmami. Zjawiał się tak częściej nocami, waląc i kopiąc w zamknięte drzwi. Nie

* Forma dowodu tożsamości stosowana w pierwszych latach okupacji na ziemiach polskich włączonych do III Rzeszy. Nazwę wzięła od odcisku palca jej posiadacza. „Palcówki” zostały zastąpione przez kenkarty.

przebywałam w domu, lecz co dzień u innych znajomych i rodziny. Pewnego dnia, było to w Wielkim Tygodniu, tuż przed Świętami Wielkanocnymi, po rewizji i innych represjach ze strony okupanta, zostaliśmy wyrzuceni z domu, gdzie mój ojciec miał zakład krawiecki. Zakład ten w nagrodę za waleczność na froncie francuskim otrzymał pewien tzw. umiedler*. W całym domu zamieszkali „zasłużeni Niemcy”, między innymi szef olkuskiego Gestapo. Obawialiśmy się, że to może być początek naszego bliskiego końca. Trzeba było uciekać.

OLKUSZ, PRZED WIELKANOCĄ 1943 [13]

Stanisława Paciej

Z Ludowego Związku Kobiet wyloniono Zielony Krzyż zajmujący się służbą sanitarną w Oddziałach Batalionów Chłopskich. A ja już jako Komendantka Zielonego Krzyża na północną część powiatu olkuskiego mam zorganizować trzy gminy systemem trójkowym – gmina Kidów, Pilica, Pradła. W Pradłach mam zorganizowaną silną drużynę sanitarną. Komendantką Trójki Gminnej jest koleżanka Turlej, ta drużyna jest przeszkolona i przygotowana do obsługi zakonspirowanego szpitala z trzydziestoma łózkami i z dużym zapasem bandaży. [...]

Wieczorami szyjemy opaski biało-czerwone, wyszywamy godła państwowe, robimy bandaże i oddajemy chłopcom z lasu. Tych czynności nie da się robić w dzień, tak jak wszystkie szkolenia i zebrania, odbywają się w nocy z dużą ostrożnością.

KIDÓW, WIOSNA 1943 [8]

Zuzanna Myszor „Czajka”, mieszkanka Łobzowa

Początkowo były ogromne trudności ze zorganizowaniem szkolenia sanitarnego naszych członkiń. Opierając się na materiałach szkoleniowych dostarczonych przez Okręg i podręcznikach przedwojennych, zorganizowałyśmy kilka kursów sanitarnych. Na kursach tych wykładali także nasi koledzy z Batalionów Chłopskich, a szczególnie przeprowadzali pobieżnie naukę o broni. [...]

Lekarzy na naszym terenie było bardzo mało, a współpracujących z nami jeszcze mniej.

POWIAT OLKUSKI, WIOSNA 1943 [5]

Felicja Grzywnowicz „Litwinka”, członkini Armii Krajowej w okolicach wsi Budzyń

Wysiedlono nas do Gubernatorstwa. Tu przebywaliśmy u krewnych męża w Budzynie. [...] Mąż zajmował się cały ten czas tajnym nauczaniem, ja prowadziłam gospodarstwo, przędłam i robiłam swetry, by zapracować na utrzymanie. [...] Wciągnęły mnie do AK, która wtedy dopiero w tamtej okolicy zaczęła się organizować. [...]

Z początku zajęłam się zorganizowaniem punktu sanitarnego. Urządziłam dla grupki dziewcząt kurs sanitarny i apteczkę, z której korzystali bez różnicy akowcy i alowcy oraz ludność miejscowa. Poza tym akcja początkowo ograniczała się do bardzo rzadkich ćwiczeń nocnych w strzelaniu z karabinów, których była bardzo znikoma liczba, oraz do kolportowania tajnej prasy – bez różnicy: tak akowskiej, jak alowskiej.

Zresztą długi czas nie orientowaliśmy się w terenie w różnicy między AK a AL. Mieliśmy wspólny cel: bić Niemców.

BUDZYŃ, WIOSNA 1943 [1]

Irena Szota „Olga”, mieszkanka wsi Dobraków

Werbuję dziesięć dziewcząt do Ludowego Związku Kobiet przy Batalionach Chłopskich. Składamy przysięgę, zaznajamiam członkinie z obowiązkami. [...]

Przechodzimy przeszkolenie: łączniczek, sanitariuszek, szkolenie z bronią. Spotkania Ludowego Związku Kobiet odbywają się w zlewni mleka, do której tylko ja posiadam klucze. [...] Latem spotkania odbywały się w lasach.

DOBRAKÓW, SIERPIEŃ 1943 [4]

Alicja Mędrak

Przez „zieloną granicę” przedostaliśmy się do Generalnego Gubernatorstwa. Ta spokojna na pozór wioska Bydlin nie była wymarzoną przystanią. Nocami grasowały tu bandy składające się z różnych elementów przestępczych, podszywających się pod partyzantów. Zabierały ubrania, żywność, często ostatnie grosze – bijąc, terroryzując ludność, a nawet dokonując gwałtów.

Znów nadeszły noce pełne trwogi. Z młodszą siostrą uciekałyśmy na strych. Skulone oczekiwałyśmy odjazdu bandytów (jeździli furmanką,

* Niem.: przesiedleniec – określenie dotyczyło Niemców z zajętych w Europie wschodniej obszarów, w tym świeżo przyłączonych (np. zachodnich ziem polskich), których przesiedlano na teren III Rzeszy.

na którą składali swój łup). Wysłuchując prze-
kleństw i razów bata dochodzących do nas, drża-
łyśmy, szepcząc „zdrowaśki” i trzymając się za
ręce. Aż nadszedł dzień, który wyzwolił nas od
tej nocnej zmory. Na teren naszej wioski przy-
byli partyzanci z prawdziwego zdarzenia. Byli to
tak zwani przez nas „chłopcy z lasu” lub „chłopcy
Hardego”^{*}.

BYDLIN, LATO 1943

[13]

Felicja Grzywnowicz

Mąż po wyjściu z obozu był bardzo wyczerpany fi-
zycznie, więc ja za męża zgodziłam się wstąpić do
Armii Krajowej. [...] Zadaniem moim było zorga-
nizowanie punktów sanitarnych w terenie – w Bu-
dzyniu, w Mostku, w Głanowie.

BUDZYŃ, JESIEŃ 1943

[1]

Leokadia Pandel „Sarenka”, 14-letnia członkini ludowej konspiracji we wsi Dobra

W czasie pobytu u [Stefana] Milejskiego [„Grusz-
ki”] gotowałam partyzantom posiłki wraz z jego
żoną [Martą], pełniłam służbę wartowniczą, gdy
partyzanci odpoczywali po akcjach, i byłam łącz-
niczka. [...]

W nocy około godziny 2.00 śni mi się, że
Niemcy chodzą dookoła domu Milejskiego. [...] Burzą się, a jeden z nich świeci mi prosto w oczy
bateryjką przez okno. Lękam się, że już mnie wi-
dzą. Słyszę wyraźnie szwargotanie.

Obudziłam się, ze strachu usiadłam na łóżku
i krzyknęłam: „Niemcy!”. Na drugim łóżku spał
Stefan Milejski z żoną i obudził się po moim krzy-
ku. Ja spałam z małą córeczką jego brata.

Zdziwiony Milejski pyta:

– Co się stało?

Ja odpowiedziałam mu, jaki miałam sen. Po
krótkiej chwili milczenia słyszemy turkot furma-
nek i szwargotanie gestapowców. Otaczają dom,
niesamowicie się burzą i krzyczą: „Otwierać!”.
Milejski mówi do mnie: „Lodziu, zabieraj swoje
rzeczy i chodź za mną”. Poszłam. Zaprowadzili
mnie do bunkru, który znajdował się w jego domu,
a o którym do tej pory nie wiedziałam. [...]

Żona jego przykryła nas betonową przykry-
wą, która była przygotowana w tym celu, na nią

przysypała cebuli, marchwi i odeszła. Dobijanie
się Niemców do drzwi nasilało się.

Słyszemy, jak odsuwają się zapory od drzwi,
następnie szybkie kroki, krzyki, szczekanie psów
i płacz. Po jakimś czasie ucichło. Domyślaliśmy
się, że może oprawcy opuścili już dom. Upłynęło
kilka godzin w trwodze i lęku. [...]

„A może byśmy się jakoś wydostali” – zapy-
tałam Milejskiego. Na to on odpowiedział: „Wyjść
nie wyjdziemy, bo może te gady czekają uzbrojeni
w broń i granaty. Będziemy czekali. Natomiast,
gdyby żona nie wytrzymała tortur i powiedziała,
że się tu znajdujemy, to i tak się w ich ręce nie od-
damy. Odbezpieczymy granaty, które trzymamy
w pogotowiu, i wysadzimy się w powietrze”.

Wreszcie słychać szeleszczenie cebuli. Na-
stępnie ktoś unosi ciężką pokrywę. Nerwy dochodzą
do szczytu. Nareszcie – w otworze ukazuje się
twarz żony Milejskiego.

[...]

Po wyjściu z bunkru ujrzeliśmy karykaturę,
a nie człowieka. Była obtargana, posiniaczona
i skrwawiona. Powiedziała nam, że była tortu-
rowana przez gestapowców, ale nie powiedziała
ani słowa. [...] Współtowarzysz niedoli zapytał
się żony: „Co z małą?”. [...] Odpowiedziała mu:
[...] „Dotąd mnie bili, dopóki jeden z nich nie zna-
lazł jej pod łóżkiem. Wtedy mnie już nie pytali,
kto spał na tym łóżku, i nie bili, tylko zabrali na
przesłuchania do Gestapo. W czasie tortur pod-
czas przesłuchania pytali się o partyzantkę, która
działała na tym terenie. Ja powiedziałam, że o ni-
czym nie wiem. Małą też pytali i straszili, że będą
ją bili, ale to małe biedne dziecko też im nic nie
powiedziało”.

DOBRA, LISTOPAD 1943

[12]

Irena Szota

Uszyłam flagę biało-czerwoną, po jednej stro-
nie umieściłam Matkę Bożą Częstochowską, po
drugiej stronie Orła Białego z koroną. Flagę wie-
czorem 10 listopada zanieśli i zawiesili w gminie
Kidów Henryk Modzelewski i Zdzychu z Sosnow-
ca. [Następnego dnia] około godziny 11.00 przyje-
chała granatowa policja. Zasalutowali, zdjęli flagę
i zabrali.

DOBRAKÓW, 11 LISTOPADA 1943

[4]

* „Chłopcy od Hardego” – potoczne określenie żołnierzy Oddziału Partyzanckiego „Surowiec” Armii Krajowej pod dowództwem Gerarda Woźnicy „Hardego” (1917–1981), największego tego typu zgrupowania na ziemi olkuskiej w czasie II wojny.

Stanisława Piega

Ścigana grupa zziębniętych, przemoczonych partyzantów zatrzymała się w naszym domu, żeby pod dachem coś zjeść, wysuszyć przemoczone ubrania i przespać się. Gdy oni jeszcze spali, przybiegł ze wsi chłopak, przysłany przez ówczesnego sołtysa Marka Świerczka, by uprzedzić nas, że Niemcy jadą na rewizje i już są blisko.

Nieubrani jeszcze partyzanci nie zdążyli uciec do lasu. Mąż mój ułokował ich w dobrze zamelinowanej piwnicy, wynosząc szybko ich ubrania i sprzęt. W ostatniej chwili zauważyłam, że w kuchni na krześle został pistolet. Chcąc go ukryć, wyszłam szybko do ustępu stojącego za domem. Posypała się za mną salwa z karabinu maszynowego.

Na szczęście dobiegłam do ustępu. Pistolet rzuciłam w nieczystości, a sama usiadłam, udając, że się załatwiam, gdy dopadli mnie Niemcy. Wyciągnęli mnie stamtąd, bijąc po głowie i pytając, gdzie są „bandyty”.

Tymczasem druga grupa Niemców biła kolbami karabinów mojego męża, który stał na progu domu, żeby powiedział, gdzie są partyzanci. Ubili go do nieprzytomności. Leżał, mając głowę przewieszoną przez próg, a Niemcy deptali po nim swoimi butami, wchodząc na rewizję. Przekopali cały dom, poszli na górę, do szopy, stodoły; przewracali snopki słomy i wściekli, że nic nie znaleźli, zaczęli się oddalać. Ale za chwilę jeszcze dwóch z nich wróciło i pytają: gdzie jest córka, czy poszła razem z „bandytami”? Zaczęli mnie znów bić. Upadłam na schodkach, poczułam jak przez mgłę oddalających się Niemców.

PORĘBA DZIERŻNA, LISTOPAD 1943 [9]

Helena Klimczyk, mieszkanka wsi Chechło

Ciągle Niemcy przychodzili do mnie do domu, [pytając] gdzie jest mąż i [strasząc], że jak nie przyjdzie mąż, [...] to mnie zabiorą i wywiozą. Ja się tłumaczyłam, że poszedł do roboty i więcej nie wrócił – nie wiem, co się stało.

W czasie pobytu męża w partyzantce przechodziłam przez granice ze szmuglerami i spotykałam się w umówionym miejscu z nim, dostarczałam partyzantom broń i wiadomości. Po trzech miesiącach aresztowali mnie za męża – nie powiedziałam, gdzie jest, a oni na to, że mąż jest w lesie jako *bandit* (partyzant). Następnie wywieźli mnie z innymi do Sosnowca.

CHECHŁO, KONIEC 1943 [6]

Zuzanna Myszor

Gdyśmy się szkoliły, nasi chłopcy coraz częściej bili się z Niemcami. Zdobyte wiadomości, szczere chęci i zapał niestety bardzo rzadko miały swoje zastosowanie.

Sanitariuszki nie występowały w akcjach bojowych naszych oddziałów Batalionów Chłopskich. Nikt nas do tego nie wzywał, a raczej wstrzymywano nas od takich działań, obiecując nam pole do popisu w ostatecznej rozgrywce z okupantem.

Osobiście byłam zaledwie jeden raz w oddziale partyzanckim Batalionów Chłopskich. Komendant Obwodu Batalionów, z którym od dłuższego czasu jeździłam często po terenie powiatu w sprawach organizacyjnych Ludowego Związku Kobiet i Zielonego Krzyża, obiecywał mi pokazać oddział partyzancki i nawiązać z nim współpracę na odcinku naszej służby.

W pewien słoneczny dzień lutowy [komendant] podjechał sankami – swoją sławetną „Lalką”, i niespodziewanie oznajmił, że jedziemy do grupy leśnej Batalionów [Zygmunta Szenkera-Nebrzydowskiego] „Henryka”. [...]

Nie bardzo mogłyśmy sobie wyobrazić, jak żyją nasi chłopcy w lesie w tak srogą zimę. Nie wiedziałyśmy także, gdzie są, gdyż tych okolic nie znałam. Po pokonaniu ponad 20 kilometrów jednokonnymi saniami znaleźliśmy się w wiosce zwanej wówczas „stolicą partyzantów” – Jasińcu. Wioska licząca około 12 domów położona była pod lasem na pograniczu powiatu włoszczowskiego.

Na skraju wioski zatrzymali nas wartownicy oddziału. Po podaniu hasła jeden z nich podprowadził nas do domu, w którym mieściło się dowództwo oddziału. W obszernej izbie zastaliśmy dowódcę – „Henryka” oraz kilku innych partyzantów [...].

Po wstępnych powitaniach i okrzykach radości „Henryk” zarządził przygotowanie dobrej kolacji dla uczczenia gości. Spodziewałyśmy się dostać jakąś grochówkę lub kaszę z wielkiego kotła, nieodzwonne potrawy wojska. Tymczasem, kiedy rozmawialiśmy z „Henrykiem” i jego sztabem na tematy organizacyjne – plany współpracy Zielonego Krzyża z oddziałem, w izbie zaczęła się rozchodzić woń pieczonego mięsa i jakieś inne zapachy przedświąteczne. Okazało się, że chłopcy oprócz mięsa, wątróbki czy innych podrobów, przygotowali i piekli prawdziwe pączki dla

podtrzymania tradycji „ostatkowych” oraz zapewne uczczenia gości, rzadkich w oddziale.

Chciałyśmy pomóc w przygotowaniu kolacji, a zwłaszcza w pieczeniu pączków, ale „Henryk” nie zgodził się, twierdząc, że jego ludzie doskonale to zrobią.

CHLINA, LUTY 1944

[5]

Leokadia Pandel

Zostałam wysłana przez dowództwo na teren Niegowonic i Grabowej w celu przeprowadzenia wywiadu. [...] Ludzie ci wiedzieli, że jestem poszukiwana przez Gestapo i że za ukrywanie mnie grozi im śmierć, a mimo wszystko przetrzymywali mnie.

Po zrobieniu wywiadu miałam się udać z powrotem na teren mojej działalności – okolice Włoszczowej i Pilicy. Gdy przyszłam do domu, [...] aby pożegnać się z matką i siostrą – mama częstowała mnie odsmażonymi kartoflami i kwaśnym mlekiem. Ledwie zaczęłam jeść, gdy z wielkim wrzaskiem wpadli do mieszkania z psami ci sami gestapowcy, którzy aresztowali mnie pierwszy raz. I wprost do mnie:

– Do góry ręce, ty bandytko!

Jeden z gestapowców uderzył mnie dwa razy w twarz, a inni dwaj, którzy stali we drzwiach z karabinami maszynowymi, strzelali w kierunku szafy, gdyż myśleli, że w niej jest ktoś z partyzantów.

Świadkiem mojego aresztowania była koleżanka Genowefa Bachowska. Na szczęście w tym dniu mama zabiła cielę. Niemcy po rewizji kazali mi wziąć to cielę na plecy i nieść. Wtedy odezwała się mama:

– Panie, przecież ona tego cielęcica nie uniesie. A cielę było chore i musiałam je zabić za zgodą sołtysa.

Wtedy to jeden z gestapowców:

– I ty, stara, też się ubieraj. Pójdiesz z nami.

Bachowską zaś wysłali do sołtysa po kartkę na zabicie cielęcica. [...]

Zzianą Gienką dogoniła nas koło Jana Guzika – doręczyła gestapowcom kartkę od sołtysa. Sołtys nie wiedział o zabiciu cielęcica, a mimo wszystko wydał zaświadczenie, że cielę było chore i kazał zabić. Wtedy to Niemcy kazali mi rzucić cielę na ziemię i poszliśmy dalej. [...]

Gdy wyszliśmy za Grabową – moją rodzinną wieś – było mi bardzo smutno, gdyż wiedziałam, że ostatni raz już nogi moje przemierzyły drogi tej ukochanej wsi. [...] Przed moimi oczami ukazało się nie tylko trzech esesmanów, którzy mnie

eksportowali, ale aż trzy sanie. Ja jedna, a ich tyłu. Zdałam sobie wtedy sprawę z tego, jak ważną osobą byłam w ich oczach, że za wszelką cenę chcieli mnie zdobyć choćby i w walce.

Usiadłam na jednych saniach między gburnymi, otyłymi i ucieszonymi, że się im udało mnie schwytać, hitlerowcami. Ja młoda „Polka bandytką” byłam dumna jak paw. Obok mnie usiadła mama. Myślałam sobie: „I tak wam nic nie powiem, choćbyście mnie mieli i zabić”. A wiedziałam, że teraz, to mi już nie pozwolą żyć. [...]

Rano przyszedł klucznik, otworzył drzwi i wyrzucił prycę. [...] Przyszedł następnie gestapowiec i zakął mnie w kajdany. Założono mi głodówkę. Przez trzy dni nie dostawałam nic jeść. Potem dostałam kawałek chleba i garnuszek czarnej kawy. Mnie jednak nie chciało się jeść. Nie myślałam o jedzeniu, jedynie o tym, aby w czasie tortur nie zdradzić nikogo i nic nie powiedzieć tym przeklętym gadom. [...]

Wyjęli „bykowce” z szafki narzędzi tortur [...] i we trójkę zaczęli mnie bić. Bili przez 15 minut. Zadawali różne pytania. Ja nie odpowiadałam, nawet nie jęknęłam. Bili jak w drzewo. Po 15 minutach szef Gestapo Roter kazał mnie spuścić, odwiązać i odprowadzić do bunkru. [...] Całą noc przejęczałam w bólach. Myślałam o tym, żeby mi ktoś doręczył w jakiś sposób truciznę i by odebrać sobie życie, gdyż bałam się, aby w bólach nie wydać. [...]

Przed południem usłyszałam pod oknem kobiety z Niegowonic, a między nimi poznałam głos siostry. Wołają cichutko:

– Bolek, Bolek, Fredek, Fredek.

Słyszę, jak siostra woła:

– Lodziu, Lodziu.

Odezwałam się. Wszystkie podeszły do mojego zakratowanego i po części na wpółotwartego okna, które było przy wejściu do Gestapo. Siostra przez okno rzuciła mi kawałek pasztekki i chleba.

Ja powiedziałam do niej:

– Marysiu. Nic mi nie przynos. Uciekaj stąd.

Ja już jestem prawie że zamordowana.

Kobiety z płaczem odeszły od okna.

ZAWIERCIE, MARZEC 1944

[12]

Alicja Mędrak „Diana”, wysiedlona do wsi Bydlin

W małym pokoiku pani Marii, wiejskiej nauczycielki, padły uroczyste słowa przysięgi. Zostałyśmy oficjalnie przyjęte do grona konspiracyjnych

koleżanek [Armii Krajowej]. Otrzymałam pseudonim „Diana”, a siostra moja [Letycja Mędrek] „Jutrzenka”. Wciągnięte w wir pracy konspiracyjnej spędzałyśmy dni na zebraniach i szkoleniach. Większość z nas to były młode, kilkunastoletnie dziewczęta, tak jeszcze niedoświadczone, że nawet nie interesowało nas, jaka to była organizacja.

Ważne było jedno – że została wydana walka na śmierć i życie okupantowi niemieckiemu. Obie z siostrą byłyśmy w stałym kontakcie z rodzinami „chłopców z lasu”. Najczęściej wysyłałyśmy listy dla zmylenia z Wolbromia lub z Olkusza przez zaufane osoby. Pełni trwogi o swoich najbliższych, dowiadywali się od nas o ich zdrowiu i życiu. Cieszyłyśmy się, gdy były to dobre wiadomości, i razem z nimi przeżywałyśmy ich radości i smutki.

BYDLIN, WIOSNA–LATO 1944 [13]

Stanisława Paciej

Dostałam rozkaz, by udać się z listami do grup przebywających na terenie północnej części powiatu olkuskiego.

Jadę więc pociągiem z Kielc do Wolbromia. Dzień słoneczny, piękne popołudnie. Siedzę bez troski, zadowolona, pociąg kołysze, skłonna jestem do drzemki, lecz wiem, że zasnąć mi nie wolno. Pociąg minął stację przed Wolbromiem, słyszę głośno w pociągu, że w Wolbromiu łapanka przez Gestapo. Co robić? Widzę, że ludzie w biegu skaczą, więc robię to i ja, innego wyjścia nie miałam.

Pociąg jechał wolno, maszynista był Polakiem i czuwał jak polscy kolejarze. Skok był nieudany – upadłam na nasyp kamienisty. Odniosłam stłuczenia i rany głowy, rąk i nóg. Z wielkim wysiłkiem doczołgałam się do pobliskich zarośli i zaczęłam do rana. Znając te tereny, udałam się ścieżkami za Wolbrom w kierunku Pilicy, a że był dzień targowy, spotkałam znajomego kolegę, który wracał z targu z Wolbromia. Był to jeden z konspiracji, obywatel Kuczera, i on zawiózł mnie do siostry mojej Marii z Ołudzy.

OLUDZA, LIPIEC 1944 [8]

Alicja Mędrek

Pewnego dnia wspólnie z moim ojcem podjęliśmy wielką decyzję. Postanowiliśmy naszych „leśnych chłopców” umundurować, by wyglądali

na prawdziwych polskich żołnierzy. Materiał na mundury był, gdyż dostarczyli go „chłopcy z lasu”. Oni to sami zdobyli go na jednej z licznych wypraw, zabierając z niemieckiego magazynu. Brakowało dodatków, guzików z polskim orłem i nici do szycia. [...]

W tym celu postanowiłam się udać do miasteczka w III Rzeszy – Ilkeanu (Olkusza), gdzie miałam rodzinę i znajomych. Jeździłam tam rzadko, ale czasem trzeba było zawieźć swoim bliskim trochę żywności i słowa otuchy. Zabierałam ze sobą ulotki podziemnej prasy, a swoimi opowiadaniem o partyzantach wzbudzałam u nich podziw połączony z niedowierzaniem.

Tu był inny świat, szalał terror, aresztowania, trudno więc im było uwierzyć w moje opowiadania [...]. Rozmyślałam o tym w powrotnej drodze, siedząc w pociągu i przyciskając dobrze ukryty skarb, uszczęśliwiona, że udało mi się bez szwanku wsiąść do pociągu, gdyż przedtem celnicy niemieccy rewidowali podejrzane osoby.

Nawet nie spostrzegłam, kiedy pociąg przystanął na małej stacyjce Rabsztyn odległej o około 6 kilometrów od Bydlina. Parę osób przebiegło przez peron i szybko ruszyło w stronę wyjścia, gdyż i tu nie było bezpiecznie.

Kręcili się celnicy niemieccy, przyglądający się podejrzliwie wysiadającym. Idąc leśną ścieżką, gdyż tak było bezpiecznej, rozmyślałam nad kontrastem, jaki był pomiędzy miasteczkiem, które przed kilkunastu minutami opuściłam, pełnym niemieckich żandarmów, urzędników, szpiclów, esesmanów, o których z nienawiścią myślałam, mając przed oczami przeżyte dni grozy jak „krwawa środa”*, wysiedlenie z getta i inne metody terroru stosowane przez okupanta.

Za chwilę odetchnę innym klimatem.

Już ze wzgórza pod Kolbarkiem zobaczyłam czarne kontury tajemniczego lasu, ukrywającego w swym gąszczu tych, którzy codziennie przybliżali nas do upragnionej wolności. Znaleźli tam przecież schronienie „chłopcy z lasu”. Znałam ten las, gdyż czasami jeździłam tam z różnymi dobrymi i złymi wieściami. Jeszcze paręset metrów i jestem w domu, gdzie oczekiwano mnie z niepokojem.

BYDLIN, SIERPIEŃ 1944 [13]

* Akcja pacyfikacyjna, którą okupanci niemieccy przeprowadzili w Olkuszu 31 lipca 1940, w odwecie za śmierć niemieckiego policjanta. Spędzono miejscowych mężczyzn na rynek i poddawano ich torturom.

Zuzanna Myszor

W Polsce wrzało. Wybuchło powstanie warszawskie. Wojska radzieckie zbliżały się na całym froncie.

W okręgu krakowskim Armia Krajowa ogłosiła stan pogotowia, co pociągnęło za sobą czujność wszystkich służb współdziałających z AK. Powszechnie mówiło się o wybuchu powstania powszechnego. Wzmogły się także nasze przygotowania. Zaczęłyśmy wydawać torby sanitarne i opatrunki osobiste. Lada dzień miałyśmy stanąć do akcji z naszymi oddziałami.

W nocy z soboty na niedzielę [5 sierpnia] wpadł do mnie „Hubert” [narzeczony], który był u siebie w domu po mundur i broń osobistą. Przyjechał po prostu pożegnać się, gdyż zanosilo się na poważne wydarzenia wojenne. W niedzielę rano odjechał motocyklem. [...]

W poniedziałek rano doniesiono nam, że w odległej o trzy kilometry Porębie Dzierżnej było słycać strzały. [...] Niebawem zauważono pożar. I znów strzały, i znów pożar, coraz to w innym miejscu. [...] Ochotnicza Straż Pożarna z Łobzowa wyjechała jak normalnie do bliskiego pożaru. Spod Poręby zawrócili ją Niemcy, mówiąc, że nie trzeba tam jechać. Ten fakt upewnił nas, że to pacyfikacja.

Drogi do Poręby były wszystkie obstawione posterunkami niemieckimi. A my siedzieliśmy bezsilni i bezradni. Rozpacz nas ogarniała i złość na własną bezsilność. Około godziny 2.00 po południu nadeszły dalsze wiadomości, a wśród nich najważniejsza – Niemcy po wykonaniu swojego zadania odjechali. Postanowiłam pojechać tam jak najwcześniej.

Zorganizowaliśmy jakąś furmankę i pojechaliśmy z Łobzowa, zabierając ze sobą trochę lekarstw i opatrunków. To, co zobaczyłyśmy na miejscu, przechodziło wszelkie granice naszej wyobraźni. Wieś prawie w połowie spalona. Dotkliwy swąd spalenizny, drzewa, słomy, szmat i innych rzeczy przyprawiał o mdłości... Domy i stodoły dogorywały. Po polach i obejściach wałęsało się bydło, rycząc przeraźliwie. Psy wyły żałośnie, co napawało nas strachem i bólem. Płacz dzieci i zawodzenie kobiet roznosiły się po całej wiosce. Napotkani ludzie, zdawało się, że odchodzą od

zmysłów. [...] We trzy czy cztery – słabe, młode i niedoświadczone dziewczyny chciałyśmy ulżyć bólowi pozostałej przy życiu ludności tej wioski. Przełamałyśmy własną słabość. Zaczęłyśmy opatrywać poparzonych, rozdawać krople uspokajające, pocieszać, tłumaczyć... Dołączyły się wkrótce do nas nasze dziewczyny z Poręby. Akcja ruszyła z miejsca. Zmęczone fizycznie i maltretowane psychicznie wracałyśmy wieczorem do domu z poczuciem spełnionego obowiązku.

Nazajutrz wybrałyśmy się w kilka koleżanek pieszo do Poręby. [...]

Z rozmów z przytomniejszymi mężczyznami dowiedziałyśmy się o przebiegu wypadków i rozmiarach dokonanej pacyfikacji. Z relacji wynikało, że rano do wsi przybył patrol oddziału partyzanckiego Armii Ludowej „Tadka Białego” (Tadeusza Grochała) przebywającego w odległym o 1–2 kilometry lesie porębskim. Patrol ten przybył w celu zaopatrzenia się w żywność czy po prostu zjeść śniadanie. Kiedy wychodzili z pewnego domu, nadjechał samochód osobowy od strony Udorza, zdążający w kierunku Wolbromia. Patrol otworzył ogień do jadącego samochodu. Podobno ranił dwóch czy trzech wlasowców (pospolicie zwanych kałmukami)*. Jeden z załogi samochodu, także lekko ranny, zdążył uciec i zaalarmował posterunek żandarmerii w Wolbromiu. Partyzanci wycofali się do swojego obozu w lesie pod Porębą. Mniej więcej za dwie godziny nadjechała ekspedycja karna, złożona z żandarmerii, SS, Gestapo i Wehrmachtu – razem liczyła około 100 ludzi. Przystąpiono do akcji. Najpierw urządzili polowanie na mężczyzn. [...] Zebranych mężczyzn sprowadzono mniej więcej w środek wsi i ustawiono pod stodołę. Tam też odbyła się egzekucja. Stodołę następnie podpalono, tak że ciała zamordowanych zostały objęte płomieniami. Był wypadek, że jednemu ze skazańców, rannemu tylko, udało się wyczołgać spod trupów. Niestety, zauważyli go Niemcy i jeszcze żywego wrzucili w ogień. [...]

W ten sposób zamordowano 46 mężczyzn, pochodzących przeważnie z Poręby Dzierżnej. [...] Zamordowani byli w wieku 16–50 lat. Byli to w większości rolnicy i robotnicy rolni z folwarku. Spalono 42 domy, przeważnie kryte strzechą,

* Żołnierze Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, formacji zbrojnej w służbie niemieckiej, od nazwiska dowódcy gen. Andrieja Własowa nazywani byli wlasowcami.

które łatwo zapalały się od pocisków czy granatów. Spłonęło także 30 stodół ze zbożem, był to okres żniw.

Najgorszy i najboleśniejszy dla nas był dzień pogrzebu. Na miejscowym cmentarzu w Porębie Dzierżnej zgromadziła się cała wieś i krewni czy znajomi z okolicznych wsi. Wszystkich pochowano w jednej mogile zbiorowej i jednej pojedynczej. Na cmentarzu miałyśmy pełne ręce roboty, trzeźwiąc zemdlale kobiety i dzieci. Pomagały nam dzielne nasze członkinie z Poręby i Chliny.

ŁÓBZÓW – PORĘBA DZIERŻNA, 7 SIERPNI 1944 [5]

Alicja Mędrak

Dzień był piękny, [...] pokrojone przez mojego ojca mundury zaraz rano przeniosłyśmy do mieszkania pani Marii, gdyż było tam więcej miejsca. Tu fastrygowaliśmy i szyłyśmy na maszynie, bo za parę godzin [kuzyn Mieczysław Mędrak] „Szpak” miał przyprowadzić swoich kolegów [...] do przymiarki. Zależało nam przecież bardzo na tym, by mundury wypadły jak najlepiej. I rzeczywiście, gdy przymiarka była już gotowa, po południu weszło dwóch chłopców [Stanisław Binek] „Pieprz” i [Leopold Woźniczko] „Liść”. Mundury leżały jak ulane.

Chłopcy stanęli przed lustrem, a my z dumą i radością patrzyłyśmy na prawdziwych polskich żołnierzy. Reszta miała być na miarę tych dwóch wybranych z grupy partyzantów. Nagle do mieszkania wpadł Zbyszek, kilkunastoletni syn pani Marii [Małeckiej], wystraszony i zdyszany, gdyż jak nam oznajmił, we wsi pełno było Niemców. Przyjechali kilkoma samochodami. [...]

Pani Maria, która zawsze była opanowana i nigdy nie traciła głowy, zamknęła drzwi na klucz. Zbyszka wysłała przez piwnicę na podwórze, gdzie miał niby rąbać drewno i jednocześnie obserwować sytuację. My tymczasem w pośpiechu schowałyśmy mundury i inne dodatki do pieca chlebowego, a same otrzymałyśmy od pani Marii polecenie położenia się na podłodze i zachowania bezwzględnej ciszy, gdyż na nic więcej nie było czasu. Oczywiście razem z nami w tym samym pokoju leżeli „chłopcy z lasu”. [...]

Za chwilę niemieccy oficerowie, bo było to zdaje się wojsko i żandarmi, zaczęli zaglądać przez okno do mieszkania, ale pani Maria przewidziała i to, każąc nam leżeć pod ścianami. Na oknach stały kwiaty i oczywiście wisiały firanki. Te drobne szczegóły chroniły widoczność. Niemcy poczęli walić w okna, jeden z nich zobaczył Zbyszka

rąbiącego drewno na podwórku. Słyszałyśmy, jak pytał go, czy w tym domu nie ma nikogo.

Zbyszek wyjaśniał, że mama poszła do Wolbromia, zamknęła dom, zabierając ze sobą klucze, a on przed chwilą wrócił do domu. Na szczęście czy nieszczęście jeden z Niemców rozumiał po polsku i oświadczył, że będą czekać na powrót matki. Cała zgraja Niemców rozsiadła się na pobliskiej ławce i ani myślała o odejściu. My tymczasem leżałyśmy na podłodze. Słyszałyśmy własne oddechy i bicie serc. Nawet „Pieprz” i „Liść” drżeli jak przysłowiowe osiki. Najmłodsze z dziewcząt, widocznie nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji, a widok pokoju był dość niezwykły i raczej śmieszny, chichotały po cichu. [...] Rozróżniłyśmy niektóre słowa i zrozumiwałyśmy, że możemy tak leżeć i do rana, chyba że Niemcy zmienią zamiar i odejdą choćby na chwilę, byśmy mogli wszyscy niepostrzeżenie wymknąć się i wypuścić chłopców.

[...]

Po długim oczekiwaniu głosy przycichły, a kroki oddalały się. W pełnym napięcia wyczekiwaniu usłyszałyśmy lekkie stukanie w przeciwną stronę, zabite deskami drzwi. Pani Maria podczołgała się pod nie i usłyszałyśmy szept. To był głos mojej matki, która zdobywszy klucze, informowała nas, byśmy jeszcze nie wychodziły, gdyż Niemcy odeszli wprawdzie trochę dalej, ale mogą obserwować dom i zobaczyć, jak będziemy wychodzić. Moja matka obiecała, że da nam znać, jak odejdą całkiem z tej ulicy. Doczekaliśmy się wreszcie i znów usłyszałyśmy szept mojej matki, która tym razem ponaglała nas do wyjścia, bo prawdopodobnie Niemcy mają tu wrócić z sołtysem, gdyż poszli po niego. [...]

Na drugi dzień dowiedziałyśmy się od pani Marii, że Niemcy ci przyjechali w sprawie pomiarów i rozmieszczenia okopów, które miały być rozpoczęte w najbliższych dniach, i sołtys skierował ich do pani Marii. W jej posiadaniu znajdowały się klucze do szkoły, gdzie Niemcy przydzieleni zostali na kwatery.

BYDLIN, SIERPIEŃ 1944

Nadeszły dni pełne niepokoju i wyczekiwania. Wieczorami lub w mieszkanku na poddaszu ojciec mój odbywał długie rozmowy i narady z tzw. leśną rezerwą i z „chłopcami z lasu”, którzy przychodzili coraz rzadziej. Urywały się nasze kontakty z rodzinami partyzantów. Dowiedziałam się

tylko, że lada dzień mają opuścić te tereny, które stały się dla nich niebezpieczne, i że mają się przenieść prawdopodobnie w Kieleckie. Pamiętam ostrzeżenia mojego stryja, u którego mieszkaliśmy. Obawiał się, że gdy Niemcy dowiedzą się lub wywęszą te spotkania, to wystrzelają wszystkich mieszkańców i spalą wieś.

Przestrzegał mojego ojca, a sam ukrywał i żywił rodzinę żydowską. Często widziałam, jak skradali się w cieniu nocy do stodoły, gdyż noce w lesie były chłodne, zimno i głód dotkliwie dawały im się we znaki, a zwłaszcza ich małym dzieciom. Ojciec objaśniał stryjowi, że są to ostatnie, lecz najcięższe dni, że jeśli je przeżyjemy, doczekamy lepszych czasów, trzeba tylko zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. [...]

W kilka dni potem zapisano nas wszystkich i skierowano na przymusowe prace w okopach. Były to ciężkie dni. Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z kilofem, a bardzo rzadko z łopatą, chyba wtedy jak pomagałam rodzicom w pracy w ogrodzie. Niemcy tymczasem jako siłę roboczą traktowali polskie kobiety na równi mężczyznami. Po kilku dniach takiej pracy na rękach miałam pęcherze i odciski. Żaliłam się, pokazując je mojemu kuzynowi „Szpakowi”. [...]

Mimo to humory dopisywały nam wszystkim. Te przygotowania Niemców mówiły same za siebie. Cieszyliśmy się, że to już pewnie zbliża się koniec niemieckich rządów w Polsce.

BYDLIN, WRZESIEŃ 1944

[13]

Anna Kuś

Przenosiłam meldunki do Cisnej w okolicy Tunelu, gdzie znajdowała się grupa działająca w lasach tunelskich i znów [miałam] spotkanie z żandarmami niemieckimi. Nadeszłam na dwór, gdzie spacerowali uzbrojeni Niemcy. Zatrzymali mnie oni, pytając, dokąd idę. [...] Bałam się o swoje życie i meldunki, które niosłam za stanikiem.

Tłumaczyłam się, że idę do rodziny kopać ziemniaki. Po krótkim przesłuchaniu zostałam puszczona i szczęśliwie dotarłam do celu wraz z meldunkami.

CHELM, WRZESIEŃ 1944

[7]

Alicja Mędrak

Od kolegi z konspiracji na pamiątkę dostałam wykonany przez niego srebrny medalik z dwuzłotówki, przedstawiający polskiego orła na krzyżu. Nosiłam go na szyi, ukryty pod bluzką. Gdy

nadjechali Niemcy (cała szarża w mundurach), pochyliłyśmy głowy, by nie patrzeć na nich.

Jeden z nich tym razem upatrzył sobie właśnie mnie. Znany był z tego, że lubił sycić się widokiem Polaków pracujących przy najgorszej pracy. Chciałam odwrócić się od niego, by nie słyszeć przykrych słów i dać mu do zrozumienia, jak bardzo nim pogardzam. Ale wtedy medalik wychylił się spod bluzki. Zauważył go ów Niemiec, sięgnął po niego, zerwał z mojej szyi i rzucił na ziemię, depcząc go. Nie mogłam wytrzymać tej zniewagi, sięgnęłam po medalik, wytarłam i przyłożyłam do ust, całując go.

Koleżanki siedzące obok zamarły, a mnie było już wszystko jedno. Ale widocznie w owym Niemcu była jeszcze odrobina ludzkiego uczucia, bo roześmiał się szyderczo i odszedł.

BYDLIN, JESIEŃ 1944

[13]

Zuzanna Myszor

Młodość w czasie pięcioletniej okupacji [...] nie bawiła się wcale. Nie urządzano zabaw publicznych ani nawet prywatnych. Rzadko odbywające się wesela były przeważnie bez muzyki.

Inicjatywę spotkań towarzyskich, choć bez orkiestry i tańców, z okazji „opłatków” dla Batalionów Chłopskich przyjęto tym bardziej ochoczo. [...] Od 1939 roku nie byłam na sylwestrze. Oplątek w Przychodach potraktowałam do pewnego stopnia jako zabawę sylwestrową, jako zakończenie niezbyt udanego dla mnie [...] roku 1944. Mimo dość tęgiego mrozu i odległości ponad 19 kilometrów – pojechałam.

Oplątek odbywał się w szkole, prawie w centrum wsi. Początkowo wzdrygałam się, że w takim budynku „urzędowym” odbywa się impreza konspiracyjna. Obecność jednak „dygnitarzy” konspiracyjnych i przemily nastrój zniwelowały początkowe obawy. [...]

O północy składaliśmy sobie życzenia, jak zwykle, aby następny rok był już w wolnej Polsce, abyśmy przetrwali i doczekali.

Strzelali na powitanie Nowego Roku prawie wszyscy posiadający broń. Długo dzwoniły mi w uszach te salwy w drodze do Wierzbicy, gdy wracaliśmy po północy.

PRZYCHODY, 31 GRUDNIA 1944

[5]

Alicja Mędrak

Zaczęłyśmy otrzymywać pocieszające wiadomości, które niedługo potwierdziły z początku

dalekie, a potem coraz bliższe huk armat. Widziałyśmy wystraszone twarze Niemców, pakujących się w pośpiechu. Już nikt nie pilnował nas i nie zmuszał do pracy w kuchni i przy okopach.

Teraz my uśmiechałyśmy się ironicznie do tchórzliwie uciekających w popłochu Niemców, którzy prawie że nie zwracali na nas uwagi lub udawali, że nie widzą naszych drwiących uśmiechów.

Dla nich w takiej chwili jedno było ważne: uciec z życiem i jak najdalej od miejsca, gdzie byli znani ze swej podłości i okrucieństwa. Ci wielcy kiedyś „bohaterowie” okazali się nędznymi tchórzami.

BYDLIN, ZIMA 1945 [13]

Irena Szota

Od świtu zbliżali się Rosjanie, od Brzezin. Był rozkaz dowództwa w konspiracji: zawiesić czynność... Rozkaz wykonałam, służyłam radą, karmiłam głodne wojsko rosyjskie. Niektórzy żołnierze byli życzliwi, lecz nie wszyscy.

DOBRAKÓW, 17 STYCZNIA 1945 [4]

WYBRAŁ I PODAŁ DO DRUKU

Mateusz Radomski

(ur. 1996) – historyk, archiwista i społecznik, zaangażowany w badanie i popularyzację wiedzy o dziejach ziemi olkuskiej w pierwszej połowie XX wieku, szczególnie podziemia niepodległościowego. Pracownik Muzeum Regionalnego PTTK im. Antoniego Minkiewicza w Olkuszu. Autor i współautor artykułów naukowych, popularnonaukowych, wystaw, filmów dokumentalnych.

Tekst powstał w ramach programu „Małe Ojczyzny”, organizowanego przez Centrum Archiwistyki Społecznej we współpracy z Ośrodkiem KARTA. **Współpraca lokalna:** Cezary Brożek, Konrad Kulig, Jacek Sypień, „Koło Olkusz” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej **Współpraca redakcyjna:** redakcja kwartalnika „Karta”, Karolina Anna Kuta

ŹRÓDŁA WYKORZYSTANE W TEKŚCIE

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

1. Felicja Grzywnowicz, *Życiorys*, Teczka personalna informatora „Wir”, Szczyrzyc 1953.

Archiwum Muzeum Regionalnego PTTK im. Antoniego Minkiewicza w Olkuszu

2. Michalina Głowacka, *Wspomnienia z działalności Ludowego Związku Kobiet w powiecie oluskim*, Sułozowa 1986.

Archiwum Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej „Koło Olkusz”

3. Irena Sławiec, *Życiorys Ireny Sławiec*, Olkusz 1990.

Archiwum Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Śląskiego

4. Irena Szota, *Życiorys*, Zawiercie 1995.

Archiwum Zakładu Historii Ruchu Ludowego

5. Zuzanna Brożek, *Fragmety wspomnień z działalności Zielonego Krzyża w powiecie oluskim*, Bielsko-Biała 1960, sygn. R-VI-Ch/534.

Archiwum Związku Kombatanów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych „Koło Olkusz”

6. Helena Klimczyk, *Życiorys*, Chechło b.d.

7. Anna Kuś, *Życiorys z częściowym uwzględnieniem działalności w Batalionach Chłopskich Ob. Kuś Anny w latach 1942–1945 rok*, Chełm b.d.

8. Stanisława Paciej-Nieduziak, *Życiorys z czasów okupacji hitlerowskiej*, Ryczówek b.d.

9. Stanisława Pięga, *Mój życiorys z okresu okupacji*, Poręba Dzierżna b.d.

10. Antonina Ścisłowska, *Wspomnienia Antoniny Ścisłowskiej*, Krzywopłaty b.d.

Źródła drukowane

11. *Krwawa Środa w Olkuszu (wybór źródeł)*, red. J. Sypień, Olkusz 2020.
12. Leokadia Kwiatkowska, *Tym, którzy nigdy nie zhańbili godności Polaka*, [w:] *Partyzanckie wspomnienia*, Olkusz 2021.
13. Alicja Logiewa, *Wspomnienia Alicji Logiewy z domu Mędrək ps. Diana*, [w:] *Wspomnienia z lat walki i martyrologii AK*, Klucze 1999.
14. Anna Piotrowska, *Dziennik z Rabsztyna*, [w:] *Harcerki 1939–1945. Relacje – pamiętniki*, oprac. Krystyna Wyczańska, Warszawa 1985.